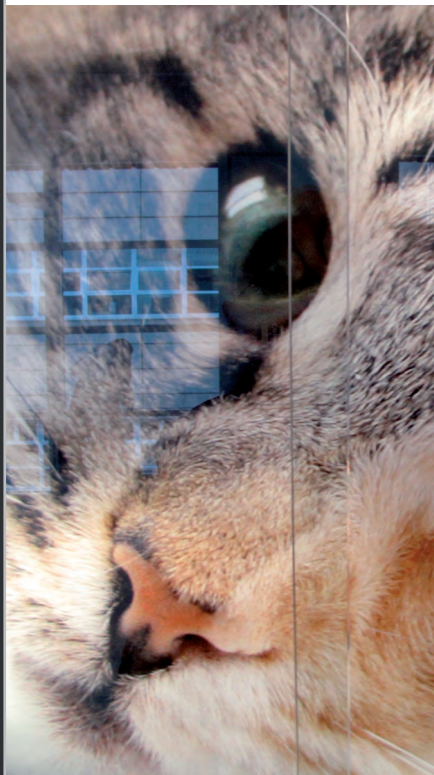


Marian Stala

JAROSŁAW,
DONALD
I INNE CHŁOPAKI

FELIETONY
Z „TYGODNIKA
POWSZECHNEGO”



universitas

JAROSŁAW,
DONALD
I INNE CHŁOPAKI

FELIETONY
Z „TYGODNIKA
POWSZECHNEGO”

Marian Stala

JAROSŁAW,
DONALD
I INNE CHŁOPAKI

FELIETONY
Z „TYGODNIKA
POWSZECHNEGO”

Kraków

© Copyright by Marian Stala and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2012

ISBN 97883-242-1577-5

TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Wanda Lohman

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

DONOS NA SAMEGO SIEBIE

Urodziłem się we wrześniu 1952, pół roku przed śmiercią Stalina. W PRL przeżyłem trzydzieści siedem lat, w nieodwracalny sposób nasiąkając jego zbrodniczą atmosferą. Pojmuję ogrom swej winy. Uprzejmie proszę Najwyższe Władze o najwyższy wymiar kary.

TP 2007, nr 26



UPADŁE AUTORYTETY

W politycznym manifestcie Jarosława Gowina *Kto dziś tęskni za III RP* („Dziennik” z 12 czerwca) najbardziej zastanowiła mnie rozbuchana poetyzacja języka. Jej obecność słysząc już w ironicznym (ale podszytym nutą sentymentu) tytule; potem jest opowieść o „wyśnionej i nieskalanej” Polsce początku lat dziewięćdziesiątych i o tym, że złudzenia pierwszej miłości minęły, gdy wyszedł na jaw „grzech pierworodny III RP” i ukazały się „puste oczodoły zdrady”... Ciąg dalszy jest równie poetyczny: oto nadeszła pełna „moralistycznego ferworu” IV RP, ale i ona zraziła do siebie wielu; to oni właśnie tęsknią za minionym czasem, a z nimi „upadłe autorytety” poprzedniej dekady.

Trudno powstrzymać wzruszenie, gdy się czyta ten liryczno-polityczny poemat (proszę przy tym pamiętać, że wymieniałem tylko kilka kluczowych metafor!)... Toteż: po pierwszej lekturze łączyły czyste i rześiste łaty mi się z oczu przez siedemdziesiąt siedem minut. Wytarłszy je, pomyślałem jednak, że zużyte metafory niewiele mówią o rzeczywistości. Pomyślałem także, iż nie jest sztuką powtarzanie mantry o upadku autorytetów; sztuką jest ich podtrzymywanie, zapewnianie im trwania. Być może to właśnie okazało się zbyt trudnym zadaniem dla nas wszystkich.

2007 (niedrukowane)

LUSTRACJA JAKO NAJWYŻSZY SPOSÓB ISTNIENIA

W felietonie *Na jedynie słusznej drodze* („Dziennik” z 23/24 czerwca), skrzącym się błyskotliwą inteligencją i humorem najwyższej próby, po raz kolejny (tym razem, jak się zdaje, ostateczny) demaskuje Maciej Rybiński podłe knowania przeciwników lustracji. „Już wiem, jak się to wszystko skończy – oznajmia felietonista „Dziennika”. Odnowiony i zreformowany Instytut Pamięci Narodowej, na którego czele stanie profesor Romanowski, Danuta Waniek albo ktoś inny tego nieskazitelnego pokroju, będzie miał do wypełnienia historyczną misję”. Po tak wiele obiecującym wstępie następuje apokaliptyczny opis prześladowań, jakie w przyszłości spotkają zwolenników lustracji ze strony partii antylustratorów. Gdy zaś wystrzelone już zostaną wszystkie fajerwerki dowcipu, następuje finał godny mistrza: „Dzięki takim działaniom Polacy zwrócą się ku przyszłości i nastanie błogosławiona i oczekiwana z wytęsknieniem epoka jedności moralno-politycznej narodu skupionego wokół jedynie słusznej idei antylustracji. Tylko taka jest droga naprawy i poprawy, i będziemy nią nieustraszenie kroczyć aż do końca”.

Bardzo jest ten wywód zabawny i pobudzający do myślenia; już widzę jak rażona siłą zawartych w nim argumentów armia antylustratorów rozpierzcha się na wszystkie strony i pogrąża w nieistnieniu. Jedno mnie tylko ciekawi: dlaczego Rybiński sądzi, iż jedynym marzeniem antylustratorów jest lustracja dzisiejszych lustratorów? Czyżby felietonista „Dziennika” uważał, że lustracja jest najwyższą formą istnienia? Czyżby nie wyobrażał sobie życia pozalustracyjnego?

TP 2007, nr 27

STARA GRA WYKSZTAŁCONYCH LUDZI

Jarosław Kaczyński włączył w tekst politycznego przemówienia jeden, ale za to niezwykle sugestywny, wers z *Chorału* Kornela Ujejskiego („Inni szatani byli tam czynni”). Większość odbiorców nie rozpoznała cytatu, traktując go jako przejaw agresywnej i trudnej do wytłumaczenia postawy ideowej. Wybuchła trzydniowa awantura, koncentrująca się wokół tego kim są owi szatani i czy Kaczyński miał prawo posłużyć się tym właśnie słowem.

Cóż powiedzieć? Cytowanie wierszy w publicznych wypowiedziach to stara gra wykształconych ludzi; wytwarza ona nieć porozumienia pomiędzy tym, który cytuje i tymi, którzy potrafią cytat zidentyfikować. Tym razem do porozumienia nie doszło; świadomość literacka premiera Kaczyńskiego okazała się wyższa od świadomości jego zakłopotanych zwolenników i rozsierzdzonych przeciwników.

Dodajmy, tu nie chodzi tylko o znajomość jednego, konkretnego wiersza; tu chodzi raczej o umiejętność posługiwania się zakotwiczonymi w kulturze metaforami. Czy już nie wolno odwoływać się do klasycznych wierszy i powieści? Czy już nadeszła epoka prostych, całkowicie jednoznacznych zdań? Jeśli tak właśnie miałyby być, to mnie jest żal starych gier wykształconych ludzi.

TP 2007, nr 28

SZLI KRZYCZĄC: „POLSKA! POLSKA!”

Premier Jarosław Kaczyński powiedział na Jasnej Górze do zwolenników Tadeusza Rydzyka: „Dziś Polska jest tutaj” („Gazeta Wyborcza” z 9 lipca). Nie słucham Radia Maryja, nie oglądam Telewizji Trwam, nie byłem tamtego dnia w Częstochowie, ojciec dyrektor jest dla mnie raczej politykiem, któremu nie ufam, niż charyzmatycznym duchownym. Czy to znaczy, że nie ma dla mnie miejsca w tej Polsce, o której mówił premier? Czy to znaczy, że nie ma w tej Polsce miejsca dla tych wszystkich, którzy myślą inaczej niż zwolennicy ojca Rydzyka?

Gest wskazywania, gdzie jest prawdziwa Polska (i wykluczania tych, którzy nie są prawdziwymi Polakami), zrodził się w czasach niewoli i wtedy wiele znaczył. Dzisiaj jest to gest znaczący niewiele. Ilekroć widzę ten gest, ilekroć słyszę towarzyszące mu słowa, tylekroć przypominam sobie napisane dawno temu wersy Juliusza Słowackiego:

Szli krzycząc: „Polska! Polska!” – wtem jednego razu
Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna,
Szli dalej krzycząc: „Boże! ojczyzna! ojczyzna”.
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: „Jaka?”

A potem przypominają mi się jeszcze słowa Konrada z *Wyzwolenia* Wyspiańskiego: „A co jest mi wstrętne i nieznośne, to jest to robienie Polski na każdym kroku i codziennie. To manifestowanie polskości. Bo to wygląda, jakby Polski nie było, Polaków nie było... Jakby ziemi nawet nie było polskiej...”

Być może, należałoby sobie te słowa przypomnieć, zanim znowu się kolejny raz wskazywać, gdzie jest Polska.

NIE MAM ŻADNYCH ŻŁUDZEŃ

W rozmowie z Piotrem Gursztynem i Mikołajem Wójcikiem Jarosław Kaczyński sięga raz jeszcze po PiS-owski dogmat, wedle którego dzisiejsza inteligencja dzieli się na tych, którzy popierają projekt IV RP (a więc nawiązują do najlepszych polskich tradycji) oraz na tych, którzy są przeciwnikami obozu rządzącego (a więc nie zasługują na to, by się nimi zajmować). Premier mówi: „Sądzę, że jeśli ktoś jest inteligentem w tym sensie, który mnie interesuje, czyli etosowym, to powinien wyciągnąć wnioski z tego, co się stało w tych ostatnich dniach. Za to nie mam żadnych złudzeń, że ta grupa, której inteligenckość polega na czytaniu ze zrozumieniem i aprobatą „Gazety Wyborczej”, „Tygodnika Powszechnego” i „Polityki”, nas kiedykolwiek poprze. I niespecjalnie o to zabiegam” („Dziennik” z 14/15 lipca).

Cóż, powinienem powiedzieć, że dzielenie inteligentów na dobrych i złych nie należy do konstytucyjnych uprawnień prezesa Rady Ministrów – tym razem jednak nie będę się czepiał drobiazków. Nie będę się ich czepiał, gdyż wypowiedź premiera jest (zapewne wbrew jego woli) niezwykle mocną pochwałą trzech wspomnianych czasopism i jako taka powinna wzbudzić radość w ich redakcjach. Ścisłej, wypowiedź ta przypisuje „Gazecie”, „Tygodnikowi” i „Polityce” niezwykle mocne, formacyjne oddziaływanie na kształt myślenia znacznej części współczesnej inteligencji. To nie jest mało.

Składinał jednak sadzę, że Jarosław Kaczyński nieco przesadza. Przesadza, powołując do istnienia zwartą grupę tych, którzy nie tylko czytają jakieś czasopisma, ale też ufają im bez reszty. Przesadza, gdy utożsamia ze sobą czytelników „Gazety”, „Tygodnika” i „Polityki” i gdy nie dowierza, by pośród tych czytelników dało się znaleźć zwolenników PiS (nie twierdzę, że jest ich dużo). Wreszcie zaś przesadza, wiążąc zbyt ściśle sympatie polityczne z czytaniem konkretnych czasopism.

Nie chcę uogólniać, poprzestanę na własnym doświadczeniu. Owszem, czytuję wskazane przez premiera czasopisma (czasem uważnie, czasem nieuważnie, czasem z uznaniem, czasem ze znudzeniem albo irytacją); owszem, nie wierzę w sensowność takiego podziału polskiej inteligencji, o jakim mówi Jarosław Kaczyński; owszem, nie jestem wyborcą PiS. Ale też uczucia antyrządowe wzbudzają we mnie częściej artykuły z „Rzeczpospolitej” niż z „Gazety Wyborczej”.

TP 2007, nr 30

MARSZAŁEK LEGUTKO

W rozmowie Joanny Lichockiej z profesorem Ryszardem Legutką („Rzeczpospolita” z 21/22 lipca) nic mnie nie zaskakuje. Nie zaskakuje mnie akceptacja politycznej chytrłości („Sprawa odwołania Leppera z rządu jest może działaniem chytrym, ale nie jest z pewnością działaniem niemoralnym”) ani pochwała obłudy („Obłuda nie jest tak całkiem do wyrzucenia. Świat bez obłudy jest światem strasznym”). Nie zaskakuje mnie opinia dotycząca swobody dyskusji w PiS-ie („Dyskusja jest oczywiście. Ale nie będę twierdził, że to jest partia demokratyczna w sensie podejmowania decyzji, bo nie jest. I nie ma partii, która byłaby demokratyczna pod tym względem. Partia to scentralizowana struktura, w której najważniejszych ustaleń dokonuje się w sposób nieformalny”) ani ocena środowiska akademickiego („W jego dużej części jest straszliwa nienawiść do PiS. Jeśli można kopnąć PiS, to się nikt nie zawaha”). Nie zaskakuje mnie traktowanie polityki jako przygody („To jest właśnie fascynujące w polityce, że nie da się jej do końca opowiedzieć i zdefiniować, skontrolować ani przewidzieć. To jest przygoda”).

W rozmowie Lichockiej z Legutką jedno mnie zastanawia: stopień akceptacji reguł obowiązujących w bieżącej polityce („Tak, dobrze się czuję w polityce. Nie jestem szczególnie sfrustrowany tym, że «miało być inaczej»”). Dokładniej: zastanawia mnie to, że Ryszard Legutko mówi językiem działacza rządzącej partii. Więc po to się czyta latami Platona i Arystotelesa, po to się buduje prestiż profesora uniwersytetu, by w końcu, najzwyczajniej, podporządkować się partyjnej prawdzie momentu czy etapu?

Nie mam prawa (ani ochoty) osądzania intelektualnego wyboru, którego dokonał profesor Legutko. Nie dyskutuję ani z jego poglądami filozoficznymi, ani z ich urzeczywistnieniem w przestrzeni polityki. Zastanawiam się tylko.

KSIĘŻYCOWY KRAJOBRAZ

W ostatnich latach sporo myślałem o symbolice lunarnej. Przeglądałem się setkom utworów poetyckich z księżycem w tle lub na pierwszym planie – od japońskich wierszy śmierci po zapisane tuż po wojnie słowa Tadeusza Różewicza:

Księżyc świeci
pusta ulica
księżyc świeci
człowiek ucieka

księżyc świeci
człowiek upadł
człowiek zgaśł
księżyc świeci

księżyc świeci
pusta ulica
twarz umarłego
kałuża wody.

Ostatnimi czasy zaczynam dostrzegać księżycową atmosferę nie tylko w dawnej i nowej poezji, lecz także w teraźniejszym, toczącym się wokół nas życiu politycznym. Także to życie bywa dotknięte nierzeczywistością; także to życie rozplywa się w księżycowej mgle iluzji.

Nie jest to z pewnością odczucie odosobnione ani oryginalne. Nie tak dawno temu znakomity historyk idei i przenikliwy obserwator współczesności Bronisław Łagowski mówił o widmowym charakterze polityki aktualnych władców Polski. W ostatnich tygodniach owa widmowość (albo, jak kto woli, księżycowość) znacznie się nasiliła. A końca tego procesu nie widać.

MARKS U BRAM?

„Widmo Marksa znowu krąży po świecie” – przestrzega Tomasz Stawiszyński; „Marks przeciw postkomunie” – odpowiada mu Sławomir Sierakowski; „Prawica też mówi Marksem” – dodaje Krzysztof Iszkowski... W „Dzienniku” rozpoczęła się dyskusja o powrotnej fali fascynacji marksizmem, będąca przedłużeniem polemik, jakie towarzyszyły ukazaniu się książki Slavoj Żižka *Rewolucja u bram*. To nie jest spór dla starych ludzi; przeciwnie, to jest rozmowa dla młodych; to oni mają rozstrzygnąć „czy marksizm może pomóc nam zrozumieć świat, czy też jest bezwartościowym reliktem przeszłości”.

Marksizm, wyznam od razu ze skrucą, nigdy mnie nie emocjonował. Nie emocjonował mnie stary Marks, ani Marks młody. Nie emocjonowali mnie marksiści, neomarksści ani postmarksści. Nie emocjonował mnie marksizm ortodoksyjny ani heretycki, wulgarny ani ezoteryczny. Emocjonowała mnie inna filozofia i inny sposób mówienia o świecie. Mimo tego braku emocji jako mieszkaniec PRL zetknąłem się z myślą Marksa i jego kontynuatorów. Czytywałem także książki rozliczające się z marksizmem i jego politycznymi konsekwencjami. Do dzisiaj mam w pamięci zdanie zamykające *Główne nurty marksizmu* Leszka Kołakowskiego: „Samoubóstwienie człowieka, któremu marksizm dał filozoficzny wyraz, kończy się tak samo, jak wszystkie, indywidualne i zbiorowe, próby samoubóstwienia: ukazuje się jako farsowa strona ludzkiej niedoli”.

Początkowi dyskusji w „Dzienniku” przysłuchuję się bez emocji, ale z zaciekawieniem. Czy mógłbym coś powiedzieć pierwszym jej uczestnikom? Tomaszowi Stawiszyńskiemu rzekłbym, iż traktując marksizm jako mit i podkreślając prostotę, czy wręcz: naiwność jego zasadniczych przesłań, nie tyle osłabia swoich ewentualnych oponentów, ile daje im do ręki bardzo silny argument pozytywny. Sławomirowi Sierakowskiemu zwróciłbym uwagę, iż traktowanie marksizmu jako młota na postkomunistów należy do sfery

pustych gestów (podobnie jak pokazywanie siebie samego jako kontynuatora antykomunistycznej opozycji)...

Nie wierzę, by dyskusja w „Dzienniku” doprowadziła do jednoznacznych rozstrzygnięć. Być może jednak jej ciągiem dalszym będzie inna rozmowa, dotycząca wszystkich idei, kształtujących dzisiaj myślenie i postępowanie młodych ludzi. Gdyby tak było, nie byłoby całkiem źle.

TP 2007, nr 33

NIE BYŁO LATA

Nie było lata. Nie było letnich rozrywek ani ciekawostek. W Zatoce Gdańskiej zjawił się wprawdzie karłowaty wieloryb, ale potraktowano ten fakt ze zdumiewającą o tej porze roku powściągliwością. Gdzież tam wielorybowi do rzeczy naprawdę ważnych!

Nie było lata. Tygodniami ślimaczył się spektakl zrywania rządzącej koalicji. W akcie trzynastym przybrał on postać dramatycznego (a może groteskowego?) oskarżania wszystkich przez wszystkich. Krąg podejrzanych rozrastał się bez końca, krąg wiernych świętej idei kurczył się w coraz szybszym tempie.

Nie było lata. Premier mówił (słowami Ujejskiego) o „innych szatanach”, zdymisjonowany wicepremier (słowami Wypsiańskiego) o „chocholim tańcu” i (to jego własne wzbogacenie autora *Wesela*) „padaczcze PiS-u”. Drugi zdymisjonowany wicepremier wreszcie przeczytał *Trans-Atlantyk* i bardzo się zgorszył. Sprzyjających rządowi publicystów zaczęła gnębić bezsenność i melancholia. Widoczna była nieobecność likwidatora WSI.

„Nie było lata. Jesień szła od wiosny / Jak ziąb – od wody, jak od dzwonu kręgi”. Myślę o tej nadchodzącej jesieni raczej z obawą niż z nadzieją.

TP 2007, nr 34

DWA POŻEGNANIA IV RP

W „Plusie-Minusie” z 18/19 sierpnia znalazłem (i natychmiast, z zaciekawieniem, przeczytałem) dwa artykuły żegnające ideowo-polityczny projekt braci Kaczyńskich: *Co nam zostało z IV RP* Bronisława Wildsteina i *Huk, a potem skomlenie* Dariusza Rosiaka. Oba potwierdzają (każdy na swój sposób) żywotność tonacji elegijnej w najnowszej publicystyce; oba wyraźnie odsyłają do literatury.

Elegia Wildsteina jest prostym wyznaniem żołnierza idei, który powtarza to, co wielokrotnie już mówił o projekcie IV RP i o jego przeciwnikach; widać, iż jego poglądy i zasady nie zmieniły się ani na jotę (co w chwilach takich, jak obecna, godne jest szacunku). Różnica wobec poprzednich tekstów autora na ten sam temat polega na tym, iż cały wywód zmierza do jednego, wyraźnie nasyczonego emocjami, zdania: „Można niestety przyjąć, że realizację marzeń o IV RP czasowo należy zawiesić”. Liryczno-sentymentalną tonację narzuca także tytuł artykułu. Nawiązuje on do pamiętnego refrenu piosenki Tuwima (starsi pamiętają, cytuję dla młodszych): „Co nam zostało z tych lat / Miłości pierwszej?/ Zeschnięte liście i kwiat / W tomiku wierszy. / Wspomnienia czułe i szept, / I jasne łzy, co nie schną. / I anioł smutku, co wszedł / I cicho westchnął”. Spyta ktoś z niedowierzaniem: Bronisław Wildstein i anioł smutku, i jasne łzy? A czemuż nie; także pryncypialni publicyści mają momenty słabości.

Elegia Rosiaka jest znacznie bardziej dramatyczna; przyczyny klęski IV RP wypunktowane są ostro i precyzyjnie. Co więcej, inne (i bardzo zastanawiające) jest także literackie tło rozważań. Wywód zaczyna się od jawnego porównania ostatnich dwóch lat w Polsce do wspominatej przez szekspirowskiego Makbeta „opowieści idioty, pełnej wrzasku i wściekłości, a nie znaczącej nic”. Sam zaś tytuł artykułu odsyła, nie wskazując źródła, do pamiętnego zakończenia *Wydrążonych ludzi* T.S. Eliota (w przekładzie Mi-

łosza): „I tak się właśnie kończy świat / Nie hukiem ale skomle-
niem”...

Cóż dodać? Piosenka Tuwima jest, owszem, ładna, ale słowa
Shakespeare’a i Eliota, zderzone z dzisiejszą atmosferą – dotkliw-
sze, bliższe prawdy...

TP 2007, nr 35

OPINIOTWÓRCZA MYSZKA

Wybory, wedle niektórych, za pasem, w gazetach coraz więcej Jana Rokity. Widać, że poseł Platformy, który przez dwa ostatnie lata wiódł spokojny żywot przegranego polityka (dużo spał i czytał św. Tomasza z Akwinu...), jest teraz w świetnej formie. Mówi pewnym głosem, wsłuchując się z najwyższym uznaniem we własne słowa. Jest umiarkowanie ironiczny. Wie najlepiej, co będzie z Polską w bliższej i dalszej przyszłości.

Odswieżony styl Rokity jest całkiem nieźle widoczny w rozmowie z Piotrem Zarembą, opatrzonej, zgodnie z tegoroczną modą, demoniczno-politycznym tytułem, który jest też diagnozą: *Destrukcję rządu zaczął diabelski trójkąt* („Dziennik”, 25/26 sierpnia). W tej rozmowie zwróciły moją uwagę dwie wypowiedzi posła PO. Pierwsza z nich to ociekająca patosem uwaga dotycząca władzy: „Władza służy nie do tego, żeby ją sprawować, ale żeby budować ład moralny i dobrze rządzić”. Wypowiedź druga to krótka wymiana zdań na temat dzisiejszej pozycji posła w jego partii. Pytanie Zaremby: „Jest pan nadal tylko szarą myszką Platformy?”. Odpowiedź Rokity: „Na pewno tak – chociaż myszką opiniotwórczą. Byłoby smutne, gdyby nikt nie chciał słuchać mojego miauczenia”. Trzeźwa replika Zaremby: „Myszki nie miauczą, a piszcą. Miauczą koty”. Konkluzja Rokity: „Naprawdę? Nigdy w życiu nie obserwowałem myszek, a w każdym razie ich nie słuchałem”.

Mój komentarz? Po pierwsze, zimno mi się robi, kiedy po dwóch latach rządów PiS-u polityk opozycji deklaruje chęć budowy ładu moralnego. Moralność to zbyt poważna sprawa, by zajmowali się nią ludzie władzy. Wolałbym, żeby ludzie władzy mówili: „dla wspólnego dobra chcemy rządzić sprawnie i zgodnie z prawem”. Po drugie zaś, jakież to ład chce budować poseł PO, skoro nawet nie odróżnia kota od myszy? I z taką wiedzą o rzeczywistości chce Jan Rokita pokonać Jarosława Kaczyńskiego?

SYMBOLE IV RP, CZYLI LISTA PRZEBOJÓW

Tygodnik „Wprost” zamówił w ośrodku badawczym Pentor sondaż mający wskazać te spośród wydarzeń symbolizujących IV RP, które zdaniem Polaków zasługują na pozytywną ocenę. Wedle opublikowanych (w nrze 36/2007) rezultatów największą ilość ocen pozytywnych (aż 73,6%) uzyskało uruchomienie sądów 24-godzinnych, następne w kolejności były: spektakularne defilady w święta narodowe (64,8%), powstanie CBA (60,1%), usunięcie Andrzeja Leppera z rządu pod zarzutem związków korupcyjnych (57,1%), wprowadzenie mundurków do szkół (54,8%), dążenie do otwarcia archiwów IPN (54,5%). Poniżej połowy pozytywnych ocen zdobyły m.in. takie wydarzenia, jak: ostry spór z Trybunałem Konstytucyjnym (29,3%), likwidacja WSI (26,3%), spektakularne zatrzymanie dra Mirosława G. (21,5%), nagrywanie rozmów między politykami (20,6%), powołanie koalicji PiS-LPR-Samoobrona (17,4%). Najmniej entuzjazmu (10,2%) wzbudziła próba zmiany kanonu lektur szkolnych.

Nie jestem socjologiem, nie wiem, jaki jest stopień wiarygodności (albo niewiarygodności) sondażu zamówionego przez „Wprost”. Tak samo, jak w przypadku wielu innych badań nastrojów społecznych, mam sporo wątpliwości i zastrzeżeń. Po pierwsze, pytanie zadane przez „Wprost” kryje w sobie tezę (czy nie lepiej byłoby spytać równoległe o pozytywną i negatywną ocenę wydarzeń?). Po drugie, tendencyjna jest prezentacja rezultatów, zwłaszcza w tych przypadkach gdy liczba pozytywnych ocen była mniejsza niż 50% (jeśli 30% ocenia jakiś fakt pozytywnie, to 70% ocenia go negatywnie albo nie ma wyrobionego zdania...). Po trzecie, nie ulega wątpliwości, że zamawiający sondaż działa w imieniu aktualnej władzy, że stara się dowieść, że IV RP ma silne poparcie społeczne. Zresztą, nie warto otwierać drzwi, które już dawno są otwarte. Jak wiadomo, sondażowe pytania rzadko są całkowicie bezstronne, odpowiedzi zawsze można poddawać różnym interpretacjom, a ty-

godnik „Wprost” nie kryje swej bezinteresownej miłości do rządzących. (W tym samym numerze co omawiany sondaż można znaleźć pochwałę podglądania i podsłuchiwania jako lekarstwa na wszelkie bolączki życia politycznego; zaiste, rozczulająca recepta).

Niepokoï mnie co innego. W odpowiedziach na sondażowe pytanie, w kolejności pozytywnie ocenianych wydarzeń, łatwo dostrzec uznanie dla prostych haseł i efektownych gestów, dla polityki jako medialnego spektaklu (stąd także charakterystyczny tytuł komentującego sondaż artykułu Katarzyny Nowickiej: *Lista przebojów IV RP*). Albo inaczej, w wynikach sondażu widać obecną w umysłach wielu ludzi przewagę propagandowej fikcji nad rzeczywistą sytuacją. Widać także (wielokrotnie opisywane) autorytarne i egalitarne tęsknoty wielu Polaków... BudowniczoŹe IV RP potrafili te tęsknoty zagospodarować, oparli na nich swoją propagandę i praktykę rządu. Tymczasem opozycja, jak wskazują ostatnie wypowiedzi jej liderów (proszę przeczytać choćby obszerną rozmowę z Donaldem Tuskiem w „Gazecie Wyborczej” z 1/2 września) nie ma mocnego pomysłu na przeciwdziałanie, na podniesienie świadomości prawnej Polaków, na zwrócenie uwagi na prawdziwe mechanizmy rządzące demokratycznym społeczeństwem. Dopóki ten pomysł się nie znajdzie, będziemy oglądali kolejne odsłony przedstawienia przygotowanego przez rządzących i będziemy usilnie przekonywani, że żadnej alternatywy tego przedstawienia nie ma. (Najśluszniesze zdanie Tuska ze wspomnianej rozmowy brzmi: „Politycy PiS są wykwalifikowanymi propagandystami”). To mnie niepokoï.

TP 2007, nr 37

SNY PISARZY I SPRAWA POLSKA

1.

O czym śnią warszawscy literaci, polskiego słowa mistrze? W sam środek tego ekscytującego problemu wprowadzają rozmowy Joanny Lichockiej z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem (*Jarosław Kaczyński ugryzł żubra*, „Plus-Minus” z 25/26 sierpnia) i Markiem Nowakowskim (*Trzeba mówić, bo zakrzyczą*, „Plus-Minus” z 8/9 września). Pierwsza z tych rozmów doczekała się już licznych komentarzy (osobne felietony poświęcili jej Jerzy Pilch w „Dzienniku” i Janusz Anderman w „Gazecie Wyborczej”), druga zasługuje na równie uważną lekturę.

2.

Rymkiewiczowi śni się dzisiejsza Polska, zasobniejsza, spokojniejsza, bezpieczniejsza i szczęśliwsza od kraju, w którym żyli Polacy w zeszłym wieku. I śni mu się lud polski, szczęśliwy i wesoły jak nigdy. Śni mu się także mąż wielki, na miarę Marszałka, rządzący naszym państwem; mówi o nim poeta z powagą i uwielbieniem: „Wszystko, co robi Jarosław Kaczyński jest dobre dla Polski. Podkreślam – wszystko. To zdanie obejmuje także jego błędy, jego pomyłki, jego niepowodzenia, jego nieudane przedsięwzięcia”.

Przed wszystkim jednak widzi Rymkiewicz w swym śnie alegoryczny obraz Polski – białowieskiego żubra, budzonego ze snu przez opatrnościowego męża. Mówi autor *Wieszania*: „Otóż ten wielki białowieski żubr spał sobie słodko (lub spał dręczony okropnymi snami) gdzieś na polanie w głębi puszczy i sen jego, podobny śmierci, mógłby trwać jeszcze wiele lat – gdyby Jarosław Kaczyński nagle nie ugryzł go w dupę. Żubr, ugryziony przez pana premiera, podniósł głowę, potrząsnął rogami, ryknął i popędził. Dokąd, tego nikt nie wie. Ale galopuje, pędzi ku swoim nieznanym, dzikim

przeznaczeniom”. Wielki to obraz, godny Nobla (a jeśli nie Nobla, to przynajmniej nagrody Mackiewicza).

3.

Sny Nowakowskiego nie są aż tak głębokie – ale i jemu śni się walka o Polskę. Bo oto (jak ostrzega pisarz, twórczo nawiązując do programu rządzącej partii) na naszych oczach „zarysowały się wyraźnie dwie Polski i od tego, która z nich wygra, zależy, w jakim kraju będziemy żyli”.

Jak łatwo zgadnąć, Nowakowski brzydzi się Polską małą i brudną; jest po stronie sił jasności, po stronie tych, którzy budują IV RP. Ta nowa, wielka Polska przypomina mu czasy pierwszej Solidarności. I widzi pisarz, jak z ciemności „wynurzają się wartościowi ludzie, pokazują się ładne twarze”. (Domyślam się, że są to twarze Antoniego Macierewicza i Zbigniewa Ziobry.)

4.

Dyskutowanie z czyimiś snami nie ma zbyt wiele sensu. Dla porządku pozwolę sobie zauważyć, że istnieje dość zasadnicza sprzeczność między sielankowym obrazem Polski szczęśliwej i groteskowym obrazem Polski jako pogryzionego żubra, pędzącego w nieznane. Tyle o snach pierwszego literata. Dodam także, iż w moim odczuciu pierwsza Solidarność była rewolucją nadziei, a IV RP – rewolucją frustracji i nienawiści. Tyle o snach literata drugiego.

5.

Rymkiewicz i Nowakowski bardzo dobrze mówią o aktualnej władzy i bardzo źle – o aktualnej opozycji. W ten sposób odnawiają dobrze znaną poetykę politycznego panegiryku. Rzecz jasna, oni sami powiedzą, że chwalą nie władzę, lecz czyste dobro i że atakują nie opozycję, lecz brudne zło. Autorzy panegiryków zawsze tak mówili.

Nic nie mam przeciw współczesnym panegirystom. Co najwyżej, zwracam uwagę na to, że chwalenie władzy dzisiaj usprawiedliwia jej chwalenie wczorajsze czy przedwczorajsze, pokazując skłonność do schlebiania moŜnym tego świata jako stały rys środowiska literatów. Nie wiem, czy Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi i Markowi Nowakowskiemu właśnie o to chodziło.

TP 2007, nr 38

INTELEKTUALIŚCI I POLITYKA

1.

Powiada Alain Finkielkraut: „Nie sposób rządzić w otoczeniu elity intelektualistów. W większości bowiem nie rozumieją oni, czym jest polityka. Wydaje im się, że polega ona na wprowadzaniu w życie pięknych idei, a tymczasem działanie polityczne składa się przede wszystkim z negocjacji i kompromisów. Mężowi stanu potrzebna jest nie umiejętność głębokiego myślenia, ale praktycznego działania. Ponieważ intelektualiści zwykle tego nie rozumieją, sprawni politycy wystawieni są na ich brutalną krytykę. Cała platońska idea filozofów-królów jest więc nie do zaakceptowania – na całe szczęście nie mamy dziś żadnego Platona, który wmawiałby nam podobne rzeczy. A nawet gdybyśmy mieli, nie należałoby go słuchać”. („Europa” z 15 września; cały ten numer poświęcony jest wojnie polskich elit z władzą PiS; zwierzęta polityczne znajdują w nim bardzo wiele pożywienia).

2.

Jeśli nawet myśli Finkielkrauta nie są oryginalne, to tu i teraz, w konkretnym momencie życia polityczno-intelektualnego, brzmią one smacznie i ożywczo. Ucieszą one tych, którzy nie znoszą myślowych głębi (imię ich legion); ziryтую miłośników Platona, a także tych, którzy wiedzą, że dobrze jest w każdej sytuacji zacytować trzy zdania z *Polityki* Arystotelesa; premiera Kaczyńskiego utwierdzą w przekonaniu, że to on właśnie jest przedmiotem historycznych ataków.

3.

Zaczynając rzecz z innej strony: wypowiedź francuskiego filozofa można zderzyć z fenomenem skupiania się wokół braci Ka-

czyńskich grupy wspierających ich intelektualistów. Są w tej grupie żołnierze, gotowi zginąć za cesarza (w jego dwóch osobach); są fundamentaliści, co każde cesarskie słowo rozumieją lepiej niż ten, kto je wygłosił; są też (mam nadzieję) niepokorni indywidualiści. Jedni są dalej od centrum władzy, inni – bliżej. Inna jest pozycja trzech wieszczów IV RP (profesorów Krasnodębskiego, Legutki i Zybortowicza), inna – Jadwigi Staniszkis albo Jarosława Marka Rymkiewicza czy Jacka Trznadla, jeszcze inna – współtwórców idei polityki historycznej (która w praktyce zamieniła się w propagandę). Zapewne: ktoś tę grupę kiedyś dokładnie opisze, ktoś ją zastawi z podobnymi zjawiskami z poprzednich dziesięcioleci. Mnie zastanawia sam fakt jej istnienia.

4.

To, co mówi Finkelkraut odsyła także do przypadku znacznie ciekawszego od wspomnianych: intelektualisty, który wszedł nie tak dawno w świat polityki, a teraz postanowił wrócić do siebie i do swoich książek. Myślę o Pawle Śpiewaku (i jego rozmowie z Małgorzatą Subotić, „Plus-Minus” z 15/16 września).

Śpiewak trafił do polityki z doświadczeniami socjologa, historyka idei, publicysty rozczłoszczonego stanem państwa i sposobem rządzenia. Czy miał jakieś plany, czy liczył, że jego wiedza ułatwi mu poruszanie się w parlamentarnej rzeczywistości? Zapewne. Teraz mówi: „Wierzyłem, podobnie jak wielu socjologów, że gdyby politycy podejmowali decyzje pod wpływem socjologów, politologów, racjonalnie myślących doradców, to coś by się stało dobrego. Dzisiaj wiem, że decyzja polityczna jest efektem bardzo wielu czynników, różnych małych gier personalnych. [...] Raczej jest wynikiem bezsilności, niż jakiegos działania”.

5.

Śpiewak mówi nie tyle głosem przegranego polityka, ile zawiedzionego i bezradnego intelektualisty. Nie atakuje polityków. Ale jego dzisiejsze świadectwo jest mocne; chyba mocniejsze niż gniewne teksty, jakie pisywał nie tak dawno temu. „Wracam do

siebie – bo człowiek, który przeżył już ileś lat, ma swoje miejsce, swoją muszelkę, do której się chowa [...]”. I jeszcze: „Skończył się mój czas w polityce [...]. Muszę pomyśleć. W roli osoby, która siedzi i rozmawia z młodymi ludźmi, pisze, czuję się najlepiej. W jedną rolę nie potrafię się wcielić – członka partii”.

Dobrze rozumiem te zdania. Pozostaje pytanie: co jest pomiedzy wyborem (powiedzmy) Andrzeja Zybertowicza, zostającego doradcą premiera i wyborem (powiedzmy) Pawła Śpiewaka, wracającego na uniwersytet. Co jest poza tymi wyborami.

TP 2007, nr 39

PRZEUROCZE ZWIERZĘTA

1.

Co robią Polacy jesienią 2007 roku? Jeśli wierzyć codziennym gazetom, mieszkańcy kraju nad Wisłą zajmują się przede wszystkim poszukiwaniem najtrafniejszej odpowiedzi na pytanie „kim jest Jarosław Kaczyński?” (albo: „kim są bracia Kaczyńscy?”). To fundamentalne pytanie ma, rzecz jasna, szereg wariantów pochodnych, w rodzaju: „za co kochamy braci Kaczyńskich?”, „co nas denerwuje w braciach Kaczyńskich?”, „czy to prawda, że Jarosław Kaczyński jest najlepszym premierem po 1989 roku?”, „czy to prawda, że Jarosław Kaczyński jest najgorszym premierem po 1989 roku?”, „co miał na myśli premier, gdy wygłaszał rzeszowskie przemówienie?”, etc.

2.

Przesadzam? Tylko trochę. Biorę do ręki „Europe”, dodatek do „Dziennika” z 22 września i widzę w nim artykuły: *Ujarzmianie sytuacji, Rzadki typ inteligenta, Polityk z powołania i Zemsta radykała*. Ich autorzy (Rafał Matyja, Paweł Śpiewak, Zdzisław Krasnodębski i Sławomir Sierakowski) zgłębiają, jak łatwo zgadnąć, tajemnicę osobowości i stylu myślenia Jarosława Kaczyńskiego. Gdyby zaś ktokolwiek miał trudności ze zrozumieniem ich poglądów, to może sięgnąć po felieton Roberta Krasowskiego *Kaczyński – papierowy tygrys* (a jeśli ten ktoś uważa, że i felieton jest za długi, to może poprzestać na przeczytaniu jego tytułu)...

Biorę do ręki „Gazetę Wyborczą” z 24 września. Z artykułu Michała Danielewskiego *Bez ludowców ani rusz* dowiaduję się, że Jarosław Kaczyński to „Mike Tyson politycznego boksu”. Tomasz Lis nazywa bohatera swojego felietonu *Większość, czyli Kaczyński* –

„słoneczkiem Podkarpacia” (przypominam, iż „słońcem Karpat” nazywano kiedyś innego polityka). Monika Olejnik, z kolei, zauważa ironicznie w cotygodniowym komentarzu, iż Kaczyński to wojownik, duchowny, wychowawca i sędzia jednocześnie...

Biorę do ręki „Rzeczpospolitą” z 22/23 września. W rozmowie Joanny Lichockiej z Wojciechem Kilarzem czytam słowa znanego kompozytora: „To, co robią Kaczyńscy, jeśli [...] mamy nawiązywać do zwierząt, [...] przypomina mi [...] pracę bobrów. Piękne to, przeurocze zwierzęta, ale wywołują swymi działaniami wiele zamieszania w przyrodzie. W tym wypadku jednak wykonują dobrą pracę, bo podgryzają drzewo, które jest spróchniałe, zgniłe, przerosnięte jakimiś pasożytami. I robią to po to, by – przepraszam za patos – odsłonić zdrowe głębokie korzenie”. (W dalszym ciągu rozmowy funkcję tych zdrowych korzeni przypisuje Kilar, jeśli dobrze rozumiem jego słowa, Tadeuszowi Rydzkowi). Piękne to, przeurocze słowa... zaiste godne tego, by w kategorii prywatnych hołdów dla dzisiejszych władców, umieścić je tuż obok głośnej wypowiedzi Jarosława Marka Rymkiewicza.

3.

Rzecz jasna, trudno mówić o kryzysie władzy w Polsce, nie uwzględniając roli premiera i prezydenta. Trudno winić dziennikarzy i publicystów, że piszą o tym, co wydaje im się najważniejsze. Ale też nie sposób nie zauważyć, że nadmiar pochlebstw dla rządzących dawno już przekroczył granice rozsądku. Nie sposób też nie spostrzec, że znaczna część wypowiedzi antyrządowych jest dziwnie jałowa i bezradna. W takich sytuacjach zaczyna się, chcąc nie chcąc, myśleć o władzy, która działa sprawnie, ale nie rzuca się w oczy; o władzy, która nie oczekuje panegiryków i nie wywołuje ostrych, uzasadnionych sprzeciwów. Ach, marzenia.

TP 2007, nr 40

RYCERZ PRAWDY

W rozmowie Piotra Zaremby z Jackiem Kurskim, opatrzonej bezpretensjonalnym tytułem *Chwiejący się Kwaśniewski jest prawdziwszy niż trzeźwy Tusk* („Dziennik” z 28 września) – ileż myśli świeżych i niespodziewanych! Wybierzmy choć kilka z nich.

Poprzedniego prezydenta nie waha się Kurski porównać z prezesem własnej partii: „Odrzucam postkomunę, ale w jej obozie Kwaśniewski odgrywa tak opatrnościową rolę jak Kaczyński na prawicy. Dla mnie Kaczyński jest dobry, Kwaśniewski zły, ale to oni są protagonistami polskiej sceny”. Poprzedniemu premierowi z PiS-u oddaje sprawiedliwość, nie kryjąc, iż sam zawsze popierał premiera obecnego: „Marcinkiewicz był doskonałym PR-owcem, ale słabszym premierem. Jak oglądam dziś migawki z jego udziałem, wydaje mi się postacią mało poważną. Premierostwo Kaczyńskiego to sprawowanie realnej władzy przez realnego lidera. [...] Ja do końca upierałem się, jak większość w PiS, że premierem powinien być Jarosław Kaczyński”. Jaromira Netzla i jego nominację wspomina z pobłażaniem, bo – powiedzmy sobie szczerze – sprawa jest błaha: „Netzel nie poniósł porażki jako prezes PZU – mogę to zaświadczyć jako wiceprzewodniczący sejmowej komisji skarbu. Okazał się tylko pocziwym frajerem wmanewrowanym w alibi dla Kaczmarka przez Kornatowskiego”. O telewizyjnej karierze Małgorzaty Raczynskiej, jak przystało na dżentelmena, nie chce plotkować: „Znam zarówno panią Jadwigę Kaczyńską, jak i panią Małgorzatę Raczynską. Nie mam zwyczaju uchylać się od odpowiedzi, ale tym razem daruje pan”.

Każdy z przywołanych sądów Jacka Kurskiego można obszernie skomentować. Daruję (sobie i czytelnikom) te komentarze i dodam, że w całej rozmowie najbardziej uderzyła mnie reakcja posła PiS na podszyte ironią słowa Piotra Zaremby: „Zgodnie z logiką waszego stylu uprawiania polityki powinniście w ostatnim tygo-

dniu przed wyborami kogoś aresztować”. Kurski odpowiedział: „Niczego takiego nie zamierzamy robić. Naszą socjotechniką jest prawda”.

Być może poseł PiS wypowiadając przywołane zdanie chciał rzec, iż siłą jego partii jest mówienie prawdy i że to mówienie zastępuje (albo eliminuje) socjotechnikę. Być może taki był jego zamiar, słowa jednak są wieloznaczne, a ich znaczenia wymykają się często spod władzy użytkowników. Jeśli ktoś mówi: „Naszą socjotechniką jest prawda”, to znaczy to także (albo nawet: to znaczy to przede wszystkim), iż prawdę, mówienie prawdy, prawdomówność, traktuje ów ktoś jako część socjotechniki. I znaczy to, że prawdę podporządkowuje socjotechnice i wykorzystuje do jej celów.

„Naszą socjotechniką jest prawda”. Mocno i cynicznie powiedziane; powiedziane zgodnie z regułami zręcznej i skutecznej propagandy. Poprzez to zdanie należy czytać wszystkie inne zdania Jacka Kurskiego, wypowiedziane w rozmowie z Piotrem Zarembą.

TP 2007, nr 41

SŁOWNIK DEMOKRACJI

1.

Dwadzieścia sześć lat temu, w pamiętnym roku 1981, Marcin Król ogłosił w „Tygodniku Powszechnym” cykl zwięzłych, przypominających encyklopedyczne hasła, szkiców – charakteryzujących podstawowe pojęcia, związane z demokratycznym ustrojem polityczno-prawnym i z funkcjonowaniem demokratycznego społeczeństwa. Szkic pierwszy, o tytule *Demokracja*, otwierały (i otwierają) definicje najprostsze i najbardziej oczywiste z możliwych: „Dosłownie: władza ludu. Słowo demokracja w pierwszym znaczeniu określa typ ustroju, takiego ustroju, w którym całe społeczeństwo sprawuje władzę”. Szkic ostatni, *Wolność*, zamykały (i zamykają) zdania mocne i zobowiązujące: „Człowiek jest wolny, człowiek ma być wolny. Człowiek zmierza do prawdy, człowiek ma zmierzać do prawdy. A zarówno realizacja wolności, jak i zmierzanie do prawdy najlepiej mogą się dokonywać w możliwie najlepszym systemie społecznym, chociaż bynajmniej nie idealnym, jakim jest system demokratyczny”.

2.

Cykl szkiców Króla czytałem po raz pierwszy wtedy, gdy ukazywał się w „Tygodniku”. Po raz drugi sięgnąłem po *Słownik demokracji*, gdy pojawił się w sprzedaży jako niewielka książeczka. (Moment jej wydania był nieprzypadkowy; właśnie miały się rozpocząć obrady Okrągłego Stołu. W metryczce *Słownika* znaleźć można było informacje: „Oddano do składu 8 VIII 88. Podpisano do druku 9 XII 88. Druk ukończono w styczniu 1989”. Wciąż podawano numer cenzora: „M-11”). Przed kilkoma dniami wyjąłem *Słownik* z półki domowej biblioteki i zacząłem czytać poszczególne szkice po raz trzeci.

3.

Słownik Króla pisany był (proszę wybaczyć oczywistość) w państwie niedemokratycznym; jego adresatami byli przede wszystkim młodzi ludzie, którzy instytucje demokratyczne znali z książek lub z pobytów na Zachodzie. Z drugiej strony, *Słownik* powstawał w miesiącach nadziei, tych samych, z których zrodziła się *Etyka solidarności* ks. Józefa Tischnera. Wpływ tych miesięcy był i jest wyczuwalny w klarownej, publicystycznej prozie Króla. Ten wpływ dodawał wówczas, w 1981 roku, do opisowych formuł *Słownika* – siłę marzenia. Ten wpływ kierował w stronę przyszłości, kształtował wyobraźnię polityczną. Tak to zapamiętałem.

4.

W roku 1989 *Słownik* ujawnił swój wymiar praktyczny. Po obradach Okrągłego Stołu i po czerwcowych wyborach można go było czytać jako scenariusz konkretnych działań, przygotowujących do uczestnictwa w życiu demokratycznego społeczeństwa.

5.

Nie wiem jak wielu dawnych czytelników *Słownika demokracji* jeszcze go pamięta. Nie wiem, co Marcin Król myśli o swojej książeczce sprzed lat. Co do mnie, dostrzegam teraz, że pisząc pochwałę demokracji, Król nie ukrywał jej stron ryzykownych, niepewnych.

Jak to powiedzieć? *Słownik demokracji* nie jest dzisiaj zapisem marzenia ani praktycznym poradnikiem. Jest natomiast prozą polityczną wysokiej próby. Ta proza może coś powiedzieć także tym, którzy już nie pamiętają innego porządku poza demokratycznym i którzy sporo wiedzą o wadach demokratycznego społeczeństwa. Może im ona powiedzieć, że najgroźniejszą pokusą obecnej chwili jest pokusa częściowego ograniczenia, wyrzeczenia się demokracji. I choćby dlatego, zamiast słuchać kolejnych przemówień, wolę raz jeszcze zajrzeć do książeczki Marcina Króla.